

IST zaczął się od wielu nie-
zrozumiałych słów i takimi się
kończył. Tekst miejscami nieczy-
telny, tu i ówdzie rozmazany
wodą, pismo drobne, papier
zszarzał od osiadłego kurzu,
ziwny, po jednej stronie silnie pośliz-
nięty, wyciągnięty z kieszonki na
zauważenie i zdziwienie. Odkryłem
go w najtańszej kieszonkowej
kieszonce, tam gdzie nikt obe-
cnie nie mógł się ośmielić — a przecież się ośmielił
— w czasie najbardziej nieodpowiednim
i czasów, bowiem podczas jednej z tych
chwil nieuzasadnionej pewności siebie,
co przychodzi niekiedy wraz z budzącym się
nagle i wciąż narastającym totemem serca,
które już wie, że nie należy im dowie-
rzać.

Właśnie chciałem zapłacić za kartę wstępu
do wnętrza znajdującej się przede mną sali
i w poszukiwaniu pieniędzy równie długo
jak bezskutecznie przetrząsałem wszystkie
kieszonki, kiedy naraż w miejscu spodziewa-
nego banknotu wymacałem złożony kilka-
krotnie świstek brudnego papieru. Wyjąłem
go na przyćmione światło z tą naiwną pew-
nością siebie, co każde uznawać za własne
przedmioty bliskie ciału i — co gorzej —
w głębokim przekonaniu, że jest to jakiejś sta-
rej, zapomnianej pokwitowania lub dawno
uregulowany rachunek. Istotnie list okazał
się rachunkiem, ale innego rodzaju: ten ra-
chunek wymagał uregulowania. Trzymałem
przed sobą wyglądającą kartkę, obracałem
ją w spoczonych palcach i na próżno wciąż
od nowa odczytywałem znaną już, niezrozu-
miałą treść. Na wstępie szeregu luźnych, bez-
ładnych słów, szereg zdań czytelnich
wprawdzie, lecz myśli niesprecyzowanych;
dalej odcyfrowanie czegośkolwiek stało się
niemożliwe. Na drugiej stronie odczytałem
coś, co mnie zaniepokoiło: „...bo wiem wszy-
stko i nie myśl, że będę ukrywał. Wkrótce...
w zbieraniu dowodów przeciwko tobie. Co
prawda... ale i tak... i nie unikniesz śmierci”.
Następujący po tym fragment listu okazał
się prawie zupełnie nieczytelny. Z trudem
udało mi się odcyfrować kilka zaledwie
słów: „(...) ujawnisz... choć może to być...
władzom... ale zgodne...” — brzmiał ocalony
strzępek zdania — „albo... wybieraj!”

Anonim — przemknęło mi. Pobiegłem
wzrokiem do ostatnich wierszy — poniżej
czysta strona, brak godła, podpisu brak,
nie mogłem już dłużej wątpić: miałem przed
sobą anonim. Czyżby ktoś wiedział coś o
mnie i sądził, że może mnie zdemaskować?
Razony tym przypuszczeniem wróciłem
pamięcią niemal do chwili swych narodzin i
począwszy od czasów najbardziej odległych,
gubiąc się w licznych i trwożnych domys-
łach, zagłębiałem się myślą w najciemniej-
sze zakamarki życia mego — przecież da-
remnie, bo nie znajdowałem niczego nigdzie,
co by usprawiedliwiało brutalność stawianej
mi alternatywy. Gdybym wiedział przynaj-
mniej między czym mam wybierać.

Naraz w grupie zebranych przed wejściem
do sali ludzi zauważyłem mężczyznę, który
wydał mi się znajomy. Nie pamiętałem już
jego nazwiska, ale kiedy oczy nasze spotka-
ły się na moment, dostrzegłem w jego
spojrzeniu coś jakby powitalne zmrużenie
powiek. Ośmieliłem tym skinałem mu lek-
ko głowę i skierowałem się do miejsca,
w którym stał, lecz on widocznie w ogóle
mnie nie zauważył, bo powoli zaczął się oddalać.
Bogoniłem go w połowie korytarza i zrów-
noważszy się z nim próbowałem nawiązać roz-
mowę, którą zacząłem od kilku zwykłych
słów powitania, jakie się wypowiada przy
podobnych okazjach. Odpowiedział mi nie-
chętnie, jak gdyby z przymusem, który
zresztą przychodził mu z widocznym trudem.
Wyraźnie chciał się mnie pozbyć. Do-
myśliłem się, że pragnie uniknąć nudnie za-
powiadającej się rozmowy, która co najwy-
żej mogła doprowadzić do ustalenia miejsca
i czasu naszego zapomnianego już dawno
spotkania, co nie musiało być ani interesu-
jące, ani pożyteczne dla nas obu. Z tego
wiele powodu postanowiłem przejść od razu
do sprawy, dla której zdecydowałem się go
niepokoić.

— Dostałem anonim — powiedziałem spo-
kojnym tonem, bacznie go obserwując. Czy
drgnął — nie zauważyłem tego. Szedł z głową
pochyloną, z wzrokiem utkwionym w
posadze uważnie odmierzał długość kroku,
tak aby stopy trafiały dokładnie między
spojenia sąsiednich płyt — nic nie odpowie-
dział.

— Mówię, że dostałem anonim! — po-
wtorzyłem, tym razem już z nutą niecierpli-
wości w głosie.

— Słyszysz przecież — rzekł, zatrzymał się
— tak... — mruknął. — Czy musi mi pan
o tym mówić?

Stałem przed nim. Zapiął ostatni guzik
u marynarki i podał mi rękę. Odchodząc
spojrzał mi po raz pierwszy w oczy.

— Pan wybacz, bardzo się spieszę — po-
wiedział. — Co ja mogę panu pomóc?
— Uśmiechnął się smutno. — Nie mam wpły-
wu... żadnego — dodał, już idąc.

— Ale pan mnie nie rozumiał! — krzyk-
nąłem z nim. Złowił. Odsunawszy się pod-
ciął — środkiem przechodziła grupa roz-
bawionych mężczyzn i kobiet — rozdeptał
nogą niedopałek papierosa.

— Właśnie przed chwilą...! — powiedziałem,
podbiegając do niego. — Nigdy bym się
tego nie spodziewał. Taki cios... za co? Niech
pan spojrz, co znalazłem w swej kieszonce.
Tutaj przechowuję dokumenty (zaczęłem
wymawiać różne zaświadczenia i pokwitowa-
nia — wszystko to kładłem sobie na dłoń).
No, niech pan sam zobaczy. Do tej kie-
szenki nie tak łatwo coś wejsnąć... Guzik był
zapięty, a jednak...

Patrzył w stronę drzwi, skąd ktoś przy-
woływał go do siebie. Mięśnie jego twarzy
— dostrzegłem to spod chusteczki, którą
wycierałem sobie spoczone czoło — napięły
się na moment i natychmiast rozluźniły.

— Ale ja jestem przekonany, że nie zasłu-
żyłem na żaden donos — powiedziałem
drżącym głosem. — Nikt mi niczego nie
może zarzucić.

— To czego się pan właśnie obawia? —
zapytał. Poklepał mnie po ramieniu i od-
szedł.

Na korytarzu, wiodącym do mojego mies-
kania, natknąłem się na dozorczyńnię.
— Mierznie pan dzisiaj wygląda — usły-

szalem na powitanie jej niski głos. — Chyba
coś pana męczy?

— Właśnie — podchwyciłem skwapliwie. —
Dostałem anonim. Niczego złego nikomu nie
zrobiłem, a tu nagle...

— Anonim? — zdziwiła się. — A od kogo
ten anonim?

— Tego nie wiem. Gdybym wiedział, nie
byłoby anonim.

— No pewnie! — Przestała zamiatać i
wpatrywała się we mnie z głębokim na-
mysłem. — To nie dobre chyba... — po-
wiedziała, a na jej twarzy odmalowało się
szczęre współczucie.

— Żeby pani wiedziała, jak się zdener-
wowałem.

— I to musiało pana spotkać, jak by nie
dość było zmartwieć.

— Ktoś chce mnie zniszczyć. Ale dla-
czego?

— Znajomi panu pomagają — próbowała
mnie pocieszać. — Ma pan przyjaciół?

— Widzi pani, to nie jest takie proste.
Anonim może napisać nawet największy
przyjaciel.

Skinęła głową ze zrozumieniem.
— Takie nieszczęście! — szepnęła.

Przekręciłem klucz w zamku i wszedłem
do swojego mieszkania. Tak, jak stałem, w
butach i w płaszczu, którego pasek zbyt
mocno zacisnięty wpisał mi się w ciało, rzu-
ciłem się na tapczan. Leżąc bez najmniej-
szego ruchu próbowałem zebrać myśli.

Zapadło kłopotliwe milczenie.
— Nagrałeś coś ostatnio? — próbowała
zmienić temat rozmowy Hanka.

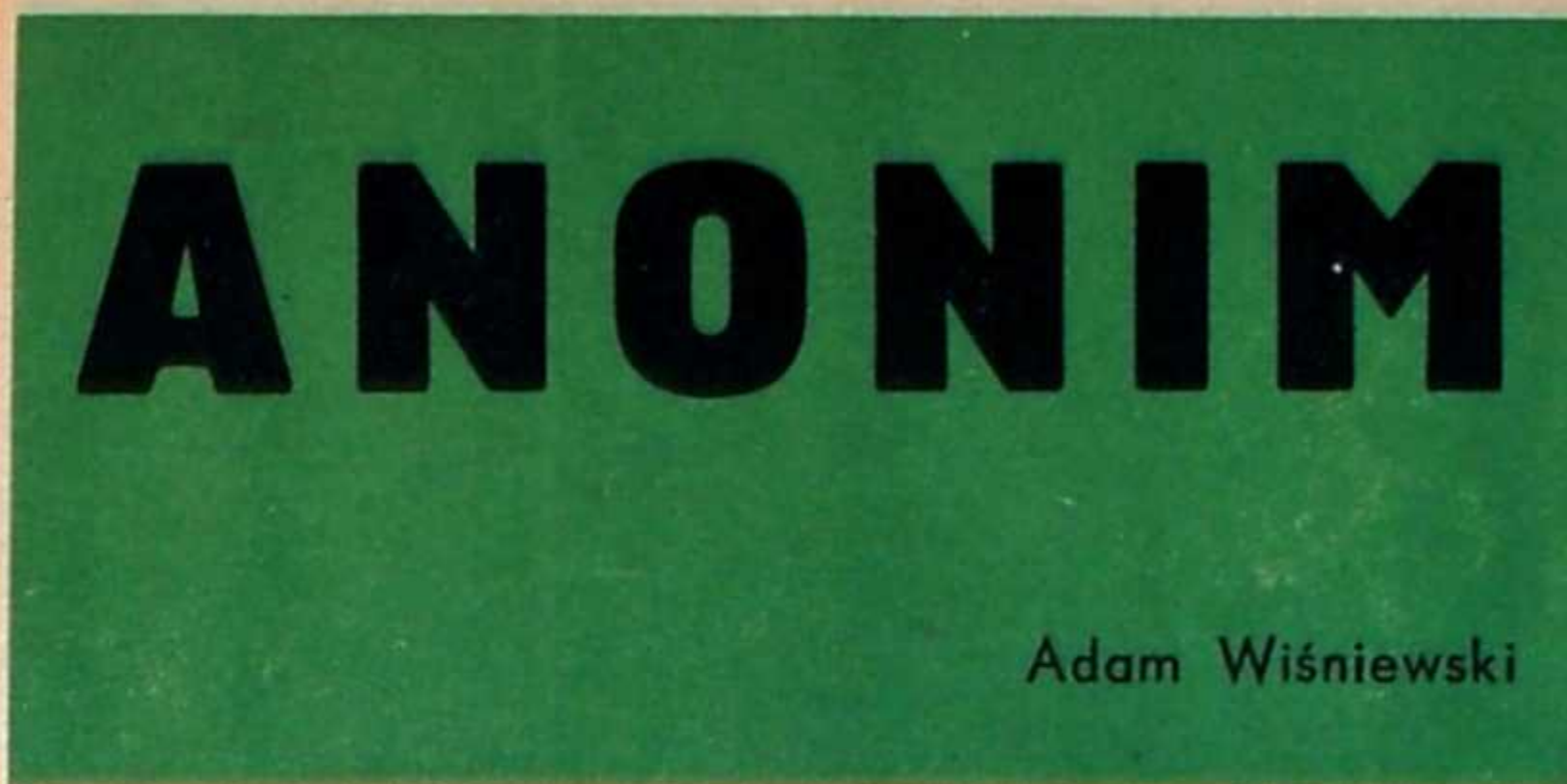
— Tak, mam kilka... nowych melodii —
odpowiedziałem rozradowanym głosem. —
Zaraz... może posłuchacie?

Podszedłem do magnetofonu i myśląc o
tym, że nie powinienem był pokazywać im
anonimu, nacisnąłem klawisz. Musiałem
mieć bardzo posępną minę, bo kobiety pa-
trzyły na mnie ze współczuciem.

— Ty jesteś taki dobry — powiedziała Te-
resa. — Wszystkim zawsze pomagasz, pracu-
jesz za innych, podejmujesz się najbardziej
niebezpiecznej i odpowiedzialnej pracy,
trwoniąc czas na różne bezinteresowne usłu-
gi i wreszcie doczekasz się zapłaty. Ludzie
nie potrafią docenić cudzego wysiłku cho-
ciażby niewiedząco jak wyraźnie rzucał się
w oczy.

— To prawda — wtrąciła się Hanka. —
Trzeba przyznać, że Henryk za mało dotąd
dbał o siebie i widocznie dlatego komuś się
nie spodobał. Będą próbować sfabrykować
jakis oszczerzy donos na zupełnie niewin-
nego człowieka. Wsadzą go do więzienia, na-
wet się nie spostrzeże za co.

— On miałby pójść do więzienia? —
uniósł się Teresa. — Jak zwykły kanciarz
czy defraudant? Już od dwóch lat mają
go za najbardziej sumiennego, uczciwego i
zdolnego pracownika.



Adam Wiśniewski

Kto? — zadałem sobie pytanie. Nielatwo
było na nie odpowiedzieć. Ujrzałem się oto-
czonym przez ludzi szczerze zaskoczonych i
współczujących mi w nieszczęściu, które tak
niespodziewanie na mnie spadło; wśród licz-
nych domysłów podsuwali mi oni różne naj-
mniej prawdopodobne przypuszczenia, które
kolejno musiałem odrzucać. Myślałem o oso-
bach bardziej i mniej znajomych. Ukazy-
wały mi się one takimi, jakimi je widzia-
łem czasami, w scenach zbyt dosłownych,
dowolnie wybranych, w pozach całkiem
przypadkowych i fragmentarycznych, cho-
ciaż fotograficznie wiernych. Była tam czy-
jaś ręka wyciągnięta na powitanie i uścisk
poparty przyjaznym słowem; twarz pochylona
gdzieś nad małym stolikiem znana mi
ze zdjęcia; czyjś uniesiony głos dobiegają-
cy zza drzwi nagle uchylonych; jakieś po-
rozumiewawcze zmrużenie oka w ciemnym
korytarzu, po zdarzeniu, którego byłem
świadkiem; uszczypliwy żart jeszcze nie za-
pomniany; jakieś wymowne milczenie; sce-
na pożegnania; długa rozmowa, która miała
mnie przekonać o czymś — wszystko, co
wierne zachowała moja pamięć, bez wy-
raźnej ku temu potrzeby. Śledząc ów
chaotyczny ciąg przekształceń mego wzu-
rzonego umysłu, mogłem się co naj-
wyżej dziwić, czemu wyobraźnia podsuwa
mi wspomnienia sytuacji tak mało istotnych.
Bo wśród tych migawkowych obrazów nie
mogłem się doszukać właściwej odpowiedzi.
Jeszcze tego samego dnia wieczorem odwie-
dzili mnie znajomi.

— Wyobraźcie sobie... — zacząłem.
— Wiemy już, wiemy! — powiedziała
Hanka.

Teresa bez słowa wyciągnęła rękę. Poda-
łem jej starannie złożoną kartkę.

— Tylko nie wygniećcie — zaznaczyłem.

— Zaraz... — powiedziała, kiedy wszyscy
pochyliłi nad anonimem. — Co to za bazar-
ły? Tego nie można odczytać.

Wacław zajął jej przez ramie.

— Początek zupełnie bez sensu — przy-
znał. — Ale spojrzcie tutaj. potępiam
cieni... w głąb milczenia... Chwileczkę. To
przy odrobinie dobrej woli i wyobraźni da
się odczytać: „Ja nie potępiam cieni spły-
wających w głąb milczenia nocą... ani ob-
laskawionego krzyku...”

— To nieważne! — przerwałem mu. —
O, tutaj dopiero się zaczyna: „...bo wiem
wszystko i nie myśl, że będę ukrywał...”

— Co nieważne? — zaperzył się. Zabrał
kartkę i odszedł z nią na bok. — Zaraz się
okaże, co tutaj jest ważne.

Poczekaliśmy, aż przeczytał.

— Skąd to wytrzasnąłeś? — spytał takim
tonem, jak gdyby zamierzał zaopatrzyć się
w coś podobnego.

— No przecież to jest ten anonim, który
otrzymałem — odpowiedziałem zrytowany.

Bardzo dziwny anonim — powiedział.
Zaczął przechadzać się po pokoju — Atram-
ent zupełnie wyblakły. Papier musiał leżeć
bardzo długo na słońcu, bo inaczej tak by
nie żółkł. Ale przede wszystkim tekst... Jest
mało czytelny i można go różnie interpre-
tować. I uparłem się, że to ma być zapowiedź
denuncjacji? Słowo daje, to jakis kawał.
Powiedz, kto i w jakim celu podał ten pa-
pier takim torturom. Żeby ci utrudnić od-
czytanie?

Poczułem, że grozi mi śmieśność.

— Eee... dajcie mi spokój! — rzuciłem,
żeby przerwać ciszę. — Nie macie zaufania
do tej kartki, bo nie wiecie wszystkiego...
Na razie więcej nie mogę powiedzieć.

— Oczywiście — rzekł całkiem innym to-
nem. — Jeżeli ty wiesz coś więcej, to zmie-
nia postać rzeczy.

dy mojego już zbyt długiego milczenia z wol-
ną zaczął znikać mu z twarzy.

— Oczywiście, że nie! — powiedziałem w
kółko. Otrząsnawszy się z zamyślenia, ze
wzrokiem utkwionym gdzieś w podłodze po-
myślałem jeszcze, że w takich wypadkach
należy patrzeć w oczy temu, kto pyta, ale
nie wiem, czemu nie mogłem się na to
zdołać.

— Wszystkie moje sprawy są zupełnie... w
porządku — dodałem zmieszany widząc, że
przygląda mi się z nagłym zainteresowa-
niem. — Ale przyzna pan... nie można wy-
kluczyć jakiegos nieszczęśliwego zbiegu
okoliczności, jakiejs pomyłki... czy ja wiem...
Czasem skazuje się ludzi zupełnie niewin-
nych...

— Bzdura! — przerwał mi z głośnie i
szczerym, jak mi się wydawało, śmiechem.
Gdyby karano takich sumiennych pracow-
ników, jak pan, co należałoby robić z fak-
tycznymi przestępcami?

Nie bardzo przekonany tym argumentem
poprosiłem go o spełnienie obietnicy.

— Obietnica? — zdziwił się.

— No, opinia — przypomniałem.

— Chodzi panu o dobrą opinię wystawio-
ną przez nasze przedsiębiorstwo, która mog-
łaby złagodzić wysokość ewentualnego wy-
roku na sali sądowej?

Skinąłem głową. Byłem mu wdzięczny, że
od razu usiadł i zabrał się do pisania bez
dalszych uspokajających mnie słów.

Idąc korytarzem dostrzegłem ukradkowe
spojrzenia urzędników, którzy dotąd w ogóle
mnie nie zauważyli, albo kwitowali fakt
mojej obecności jakimś mechanicznym
„dzień dobry”. W ich zainteresowaniu do-
strzegłem ciekawość podobną do tej, jaką
się darzy osoby dotknięte nagłą jedną z
najbardziej nieuleczalnych chorób. Przy
końcu korytarza sprzedawca gazet uniósł się
na mój widok i wyciągnął rękę ze świeżą
prasą. Przeszedłem obok niego ze wzrokiem
utkwionym w nieskończonej dali.

— Halo, panie! — zawołał za mną.

Podszedłem do niego z takim wyrazem
twarzy, który mógł oznaczać skupienie przed
ciosem.

— Co mnie obchodzą najświeższe wiado-
mości — zapytałem cedząc powoli każde
słowo. — W mojej sytuacji nie myślę o
takich głupstwach. Dostałem anonim i spo-
dziewam się aresztowania, nie wie pan?

— Nie, nie wiedziałem! — jęknął i opadł
na krzesło. — Taki porządny człowiek... nie,
to chyba niemożliwe.

Po powrocie do swojego mieszkania wy-
jąłem z kieszeni wręczony mi przez dyrek-
tora kremowy arkusz papieru. „Opinia” sfor-
mulowana była tak, jak tylko mogłem so-
bie tego życzyć. Były w niej wylizane wszy-
stkie co ważniejsze moje osiągnięcia, które
przyczyniły się do rozwoju przedsiębiorstwa;
pochwali dyrektora, zwłaszcza te dotyczące
zalet mojego umysłu i charakteru, wyda-
wały mi się mocno przesadzone, ale to na-
ciągnięcie nie mogło mi przecież zaszkodzić.
Opinia napisana była na maszynie, u dołu
widniały pieczęcie: okrągła i podłużna, a
między nimi podpis. Całość, dzięki swej so-
lidnej formie, musiała budzić zaufanie. To
nie były słowa rzucane na wiatr — to był
urzędowy dokument.

Położyłem go na stole i przechadzając się
nerwowym krokiem po pokoju spoglądałem
nań od czasu do czasu z budzącą się nadzie-
ją. Ujrzałem się na sali sądowej w momen-
cie, kiedy wyjmę ten papier, aby bez nie-
potrzebnych słów skromnie wręczyć go są-
dziemu.

Wieczorem następnego dnia, kiedy drę-
czący mnie niepokój, wywołany przez ocze-
kiwane ale nieznane niebezpieczeństwo,
zmógł się nagle bez żadnego wyraźnego
powodu, podczas wizyty u przyjaciela zada-
łem mu pytanie, które w jakiegokolwiek in-
nej postaci miałem potem zadawać wielu oso-
bom. Było to w czasie wywołanej przeze
mnie celowo rozmowy na temat naszej zna-
jomości, rozmowy pełnej wspomnień i re-
fleksji związanych z odległym dniem nasze-
go pierwszego zetknięcia. Roman siedział
przy stole i obracając w palcach pudełko za-
palek przypominał mi, a może i sobie, bieg
wydarzeń, w których razem uczestniczyli-
śmy kiedyś, ja natomiast, leżąc na tapczan-
ie i słuchając tego wszystkiego z roztar-
gieniem, czekałem niecierpliwie na sposob-
ność do podsumowania jego wspomnień.

— Powiedz szczerze — odezwałem się na-
gle — czy na podstawie tego wszystkiego, co
wiesz o mnie, mógłbyś z całą pewnością
wykluczyć możliwość popełnienia przez mnie
jakiegos przestępstwa?

Takie kategoryczne pytanie — przynaj-
mniej w tej nieprecyzyjnej formie, jaką mu na-
dałem — musiało silnie niezamierzonym i na-
rzucającej się sugestii wywołać wątpliwość
tam, gdzie jak najbardziej pragnąłem jej
uniknąć. Spostrożywszy to po niewczasie, pró-
bowałem naprawić popełniony błąd, lecz
konstruowane w największym pośpiechu i
— nie mogłem tego ukryć — w wyraźnym
popochu wszystkie odpowiedzi znaczenio-
we myśli, jaką chciałem wyrazić, zawierały
potęgający się wciąż nacisk na ową sugestie,
którą moje rozpaczliwe zabiegi usiłowały
spod tego nacisku uwolnić.

— Zaplałałeś się — powiedział Roman.
Zaczął bębnić palcami w blat stołu. — Daj
spokój! — dodał, słysząc, że zabieram się do
dalszych wyjaśnień. — Powiedz za prostu,
o co ci chodzi.

Wyjałem przygotowany arkusz papieru i
pióro.

— Napisałeś tu, co... co o mnie myślisz —
wymamrotałem, czując, że naleganie na speł-
nienie życzenia, które dotąd wydawało mi
się tak przejrzyste i proste, teraz nagle za-
krawała na kpiny. Musiałem zużyć wiele czasu
i wiele najpłojniej dobieranych słów, aby prze-
konać go o tym, jak bardzo w mojej cią-
głej sytuacji zależało mi na jego przychylnym
zdaniu o mnie, które — to zwłaszcza życze-
nie wdało mu się szczególnie idiotyczne. Jak
się wyraził — powinno mieć postać spisane-
go oświadczenia.

— Przecież w każdej chwili będę mógł
zgłosić się, jako przemawiający na twoją ko-

(Dokończenie na str. 10)

ANONIM

(Dokończenie ze str. 9)

żyć świadek — upierał się przy swoim. — Zresztą czy uważasz, że ta droga uda ci się w jakimś wyraźnym stopniu wpłynąć na pogląd sądu?

— Położenie moje jest bardzo ciężkie — odpowiedziałem mu bez namysłu. — Trudność polega na niemożności ustalenia kierunku i siły ciosu, jaki na mnie wkrótce spadnie. Powinienem być przygotowany na najgorsze. Muszę się zabezpieczyć ze wszystkich możliwych stron. Kto wie czy jutro, zapoznawszy się z treścią wymierzonego we mnie oskarżenia, nie odwrócisz się ode mnie z obrzydzeniem. Odwołasz wtedy wszystko co dziś dobrego o mnie powiedział.

Doprawdy trudno mi było go przekonać: może używał niewłaściwych słów, bo nie tylko, że nie podzielał mojego zdania, ale — co najbardziej mnie zabolało — w ogóle zaczął wątpić w anonim. Kiedy wziął z moich rąk podaną mu nieopacznie kartkę (był to z mojej strony krok nieprzemysłany), zamiast spodziewanego zrozumienia i pomocy w analizie jej treści spotkałem się z lekceważeniem.

— To ma być ten anonim? — zdziwił się. Skinałem głową.

— Mówiłeś mi o liście, a gdzie koperta z twoim adresem?

— Tę kartkę znalazłem u siebie w kieszeni. Nie było żadnej koperty.

— W kieszeni? — Widocznie ktoś mi ją wsunął.

— Ale tu nie ma żadnego nagłówka. Na jakiej podstawie upierasz się, że groźba skierowana jest pod twoim adresem?

— Skoro kartka została włożona do mojej kieszeni...

— Została włożona albo sam ją umieściłeś! I to już bardzo dawno temu, jeżeli sądzić po jej opłakanym stanie. Być może płacze ci się po kieszeniach już od kilku lat. — Bzdura!

— Niewykłuczone. Ale zastanów się, co to właściwie jest. — Wstał i zbliżył się do mojej twarzy, wyciągnął kartkę, pstryknął w nią palcem. — No spojrz i zastanów się... co oznacza ten gryzmol? Może to są jakieś notatki, może przytoczony przez kogoś cytat, fragment powieści, przepisany, bo akurat na kimś zrobił wrażenie... czy ja wiem, co jeszcze?

Jeszcze raz rozprostował kartkę.

— Czekaj! — powiedział. Zaciął wargi, jak gdyby zamierzał zabezpieczyć się przed nadchodzącym wybuchem wesołości. — Trudno to odczytać i zrozumieć, ale zwróć uwagę na układ słów i linijek. To może być wiersz...

— Oszalałeś chyba. Oddaj!

Wyrwał mu kartkę z ręki. Już dłużej nie mogłem tego znieść. Odchodząc zatrzymałem się w drzwiach, aby spytać po raz ostatni:

— Więc mi nie pomożesz?

— Mam ci napisać, że według mnie nie jesteś zdolny do żadnego wyrocznia?

— Nie kpij sobie ze mnie. Potrzebuję kilku przyjacielskich słów. Traktuj to jak list polecający. Czy tak trudno powiedzieć o kimś prawdę, jeżeli ta prawda dobrze o nim świadczy?

Mówiąc to, patrzyłem w podłogę. Kiedy uniosłem oczy, ujrzałem go, jak już siedział przy stole. Pisał z głową pochyloną na bok; w twarzy jego, nawet w chwilach, kiedy zwracał ją ku światłu, nie dostrzegłem żadnego wyrazu.

Jeżeli sobie dobrze przypominam, to tego samego dnia późnym wieczorem, wracając do swojego mieszkania, spotkałem na schodach dozorczynię. Wiedziała, że ta kobieta darzy mnie sympatią, toteż nie spodziewałem się z jej strony żadnych trudności.

— Czy mogę panią prosić o kilka minut rozmowy — zwróciłem się do niej.

— A czego pan sobie życzy? — zapytała zaintrygowana, bo dotychczas znajomość na-

sza ograniczała się do wymiany banalnych zwrotów.

— Zaraz pani powiem.

Zaprosiłem ją do pokoju i poczęstowałem ją jakimś likierem, który właśnie miałem pod ręką, odezwałem się poufalem tonem:

— W naszym domu mieszka wielu ludzi. I nie ma w tym nic dziwnego: taki duży dom... Otóż chodzi mi o jego mieszkańców. Jak już powiedziałem, jest ich wielu... ale to nie nie szkodzi, bo przecież pani i tak ma o każdym z nich wyrobione zdanie. Widuje ich pani prawie codziennie, rozmawia z nimi... Jeden jest taki, a drugi inny. O każdym z nich pani coś wie, prawda?

— Jasne, że wiem. Miałabym nie wiedzieć?

— No, właśnie mówię. Bez wątpienia znajomość ludzi może nam oddać nieocenione usługi. Ma to miejsce zwłaszcza wtedy, gdy zdajemy sobie sprawę z faktu, że negatywne cechy charakteru są w gruncie rzeczy bardzo łatwe do zdemaskowania... i to przy pierwszej lepszej okazji. Zło nie daje się długo ukryć, bo taka już jest jego istota. Jeden wraca do domu nad ranem kompletnie pijany, awanturuje się, halasuje, ubliża pani przy bramie, zakłóca spokój sąsiadów, nie uszanuje ani godności własnej ani cudzej, a przy tym nie wiadomo właściwie z czego żyje. Inny to porządny obywatel, uczciwy i uczynny, sumienny pracownik jakiegoś biura, można na nim polegać, bo ma załatwione wszystkie formalności administracyjne, nie zalega z opłatami, nie zaśmieca klatki schodowej — nie będę już dłużej mnożył jego wartościowych cech. Chyba nie uraziłem pani, narzucając jej bez dyskusji ten cokolwiek zbyt szablonowy obraz. Oczywiście oboje zdajemy sobie sprawę z tego, że podział taki jest bardzo powierzchowny i uproszczony, bo rzeczywistość okazuje się znacznie bardziej zawiła, ale darujemy sobie wszystkie komplikujące ten problem subtelności: przecież nie zaprosiłem pani na dysputę filozoficzną... A teraz proszę się zastanowić, co by pani o mnie powiedziała, gdyby ktoś chciał się dowiedzieć, jakim jestem człowiekiem. Czy bardziej przystaje do mnie postać druga?

— Zawsze mówię o panu jak najlepiej. Nikt mi tego nie może zarzucić. To chyba Molenazowa coś o panu rozgaduje...

— Och nie! Nikt o mnie nie rozgaduje. Złe mnie pani zrozumiała. Cieszę się po wszechinnym szacunkiem, toteż nie mogę się spodziewać braku życzliwości, na której tak bardzo mi zależy. Spodziewam się jednak, że wkrótce może nadejść chwila, w której w pewnych szczególnych okolicznościach będę potrzebował dokumentów potwierdzających tę powszechną życzliwość. Jednym z takich dokumentów może się okazać opinia dobrego lokatora. Czy napisze mi ją pani?

— A na co to panu?

— Być może będą ją musiał złożyć odpowiednim władzom.

— Władzom?

— Niech się pani nie obawia. To tylko czecha formalność.

— A ktoś inny nie może panu napisać tej opinii?

— Inni napiszą mi swoją drogą. Jest wśród nich wielu na poziomie. To bardzo poważni ludzie. Rozumieją o co mi chodzi. Niektórzy już napisali. Pomyślałem sobie, że pani również...

— A czy ja nie chcę napisać? Ale mogłabym coś pokreślić. Co tam właściwie ma być?

— No, kilka słów na mój temat. Tak, jak gdyby opowiadała pani sąsiadce, dlaczego uważa mnie pani za przyzwoitego człowieka. Zresztą ja nie mogę narzucać pani treści tego dokumentu. To musi być zredagowane pani własnymi słowami.

— To się rozumie. Nie musi mi pan o tym mówić.

— Więc jak, mogę na panią liczyć?

— Jutro napiszę, syn mi pomoże.

— Zgoda, ale proszę podpisać pełnym imieniem i nazwiskiem.

— Podpisać?

Na jej twarzy dostrzegłem cień niepokoju. — Przecież tam będzie mowa o tym, co ma miejsce w rzeczywistości. Prawdę nie tylko że można podpisać, ale nawet trzeba.

— Co pan myśli, że ja o tym nie wiem?!

— Nie, wcale tak nie pomyślałem.

Następnego dnia wręczyła mi zapisany z jednej strony i złożony we czworo arkusz podanowego papieru. Włożyłem go do zamkniętego na klucz szuflady, gdzie spoczął obok schowanych tam poprzednio opinii dyrektora i Romana.

Pewnej nocy obudziłem się z uczuciem ogarniającego mnie i dławiącego niepokojem, lęku o źródle nieuchwytnym, tym bardziej nieznosnego, że poprzedzonego okresem względnej pewności siebie. Wstałem z tapczanu i niepewnie skierowałem się do półki, na której przechowywałem różne pamiątki. Znalazłem wśród nich kilka listów od Ireny. Ręka moja bezbłędnie wydobyla stamtąd poszukiwany list ostatni, a kiedy go przeczytałem, wyjaśniła się przyczyna sennych obaw. Podszedłem do telefonu i zamówiłem rozmowę z Ireną.

— Musiałem cię usłyszeć, teraz w nocy, natychmiast — rzuciłem do słuchawki po uzyskaniu połączenia. — Wiesz, twój ostatni list... tyle w nim gorzkości, ktoś by mógł pomyśleć, że jestem potworem. Ale to nieprawda, wierz mi... doszedłem do wniosku, że kocham ciebie... wybacz mi wszystko, kłamałem wtedy... tak bardzo chciałem. Napisałem ci, czy się cieszysz i... dlaczego ty kochasz mnie... tak długo i mocno. Wszystko to dokładnie opisz mi w swym liście... muszę to przeczytać. Czy słyszysz mnie... chodzi mi o list, o ciebie, w którym opisujesz... Nie! Nie denerwuj się, wszystko w porządku, kiedyś ci wyjaśnię, bądź zdrowa.

Taki był początek jednego z najtrudniejszych okresów w moim życiu. Dzisiaj, po upływie wielu miesięcy od opisanych tu wypadków, nie żałuję zadanego sobie wówczas trudu, przeciwnie — mogę sobie pogratulować, że nie zbagatelizowałem kiedyś, jak mi to niektórzy doradzali, pierwszego sygnału zbliżającego się niebezpieczeństwa. Szok przeżyty w tamtych czasach przypomina mi wciąż o istniejącej groźbie i o konieczności nieustannego poszukiwania nowych dróg w celu zabezpieczenia spokojnej pewności siebie.

Teraz jestem bardziej doświadczony, bardziej ufam swoim siłom i nie czuję się taki bezbronny, jak kiedyś. Często sprawdzam sprawność zamku w moim dobrze ukrytym sejfie, gdzie trzymam wszystkie zdobyte nie raz z wielkim trudem i przechowywane na wypadek denuncjacji zabezpieczające mnie dokumenty. Zgromadziłem je tam w poważnej liczbie i często nie mogę oprzeć się pokusie, aby do nich nie zaglądać. Swą wielką różnorodnością obejmują one wszystkie okresy i dziedziny mojego życia — ktoś bowiem wie, jaka będzie treść wymierzonego we mnie oskarżenia?

Są tam najprzeróżniejsze, mogące mi się przydać zaświadczenia, podpisane przez kompetentnych ludzi wykazujące pozytywne cechy mojego charakteru, napisane lub nagrane na taśmie magnetofonowej opinie o sobie, z którymi zetknąłem się w życiu (przeznaczając sobie miejsce w pamięci, bo co znaczy wypowiadać tak sobie, bez podpisu, nie utrwalone i szybko przemijające słowa), listy przemawiające na moją korzyść, uregulowane rachunki i pokwitowania, dobre cenzury i dyplomy uznania, różne zdjęcia (wśród nich wiele zrobionych podczas intensywnych prac lub innych nienagannych czynności), wreszcie odznaczenia, jeżeli nie liczyć innych drobniactw. To są namacalne, realne przedmioty, a nie jakieś urojone w fantazmatach wartości — taki materiał będzie wymagał rozpatrzenia!

Wszystko przechowuję we wzorowym porządku: starannie posegregowane i ułożone; daty i podpisy są na właściwych miejscach; tu i ówdzie widnieją wzbudzające zaufanie pieczęcie. W każdej chwili mogę sięgnąć ręką i, wydobytwszy właściwy dokument, upewnić się, czy rozpatrywane zdanie zostało przytoczone w danej wypowiedzi rzeczywistej.

Moje zbiory zapewniają mi, że o tym, co jak nagoręcej chciałbym wierzyć, a o czym — nie wiem czemu — czasami zaczynam wątpić.

Co się zaś tyczy osoby tajemniczego denuncjatora, to już niejednokrotnie miałem możliwość przekonać się o rzeczywistej, choć nieuchwytniej jego obecności. Pozostaje wciąż w ukryciu i na różne sposoby daje mi znać o tym, że nie zaniechał zbierania obciążających mnie dowodów. Czasami dowiaduję się o jego istnieniu z leżącej gdzieś na korytarzu zakurzonej i podeptanej kartki, obok której każdy przekonany o swym bezpieczeństwie i wolny od niepewności przechodzi obojętnie, bo go ona nie dotyczy, a ja tylko wiem, że może to być zaszyfrowane i w ten sposób podrzucone mi kolejne ostrzeżenie. Bywa, że odczytuję coś na ścianie; drobna, zagubiona w powodzi ogłoszeń i nie nikomu nie mówiąca wzmianka w gazecie mobilizuje mnie do trwałego wysiłku i sprawia, że usilnie zabiegam o nowe przekonujące mnie o niewinności dowody; jakiś rysunek na poręczy schodów nasuwa mi myśl o zbliżającej się nieubłaganej godzinie doniesienia.

Innym znów razem nagle przygaśnięcie światła lub urywana na mój widok rozmowa, potrącenie lokiem w tłoku, jakiś szept czy ciche stapanie, czyjeś natarczywe spojrzenie, zacięcie się klucza w zamku, grudka mokrego piasku na podłodze, wyraźna aluzja albo ukryta metafora każą mi wyteńczyć czujność i analizować dziwne zbiegi okoliczności, bo bardzo często wśród tych mało znaczących niepozornych zdarzeń, faktów i niedomówień ukryta jest informacja o tym, że on jest i nie rezygnuje z działania.

Jeszcze z nim nie rozmawiałem i nawet nie udało mi się go zobaczyć, ale jestem pewien przynajmniej jednego — on mi nigdy nie wybaczy.

Adam Wiśniewski

Marian Berkowicz

Jan Lohmann

Przemijanie

Księżyc

dzień szerzy się odgłosem

[obłoków]

z oczami w świtanie
piję siebie

tyle sensu i bezsensu
w słowie
kiedy ocienia nas smak grozy

dlaczego
mleczysz
Matko
oddaje ci blues jesienny
w słonecznych zastrzałach

Stalowa Wola

wieczór szeptać w śniegu

jak świerszcze w zbożu latem

wypukłe lustro ciężarowego samochodu
miliony samochodów

na mlecznej drodze

cisza

drżenie w twoich oczach

cienie na policzkach

noc

Kraków

Lubelska prasa konspiracyjna 1939-1944

Zygmunt Mańkowski

N A KLADEM Wydawnictwa Lubelskiego ukazał się VII tom zapoczątkowany w 1969 roku serii pt. „Źródła i materiały do dziejów ruchu oporu na Lubelszczyźnie”. Poświęcony on został konspiracyjnej prasie i pismom ulotnym wydawanym na Lubelszczyźnie w latach okupacji hitlerowskiej i na wstępie charakterystyki materiałów (antologii) do przyszłych monografii. Składa się on z czterech podstawowych części: wstępu (stron 32), zdjęć i krótkich życiorysów najbardziej zasłużonych wydawców i redaktorów (43), zestawienia metryczek poszczególnych pism, informacji o zawartości ocalałych i dostępnych egzemplarzy (116) oraz przedruku cenniejszych artykułów i wiadomości (stron 187).

Tom dotyka bez wątpienia jednej z ważniejszych dziedzin podziemnego życia kraju w okresie okupacji. O roli i znaczeniu prasy podziemnej w latach

okupacji pisano już wielokrotnie w kraju i za granicą. Polska należała do tych państw okupowanych, gdzie ta prasa rozwinięta się najwyżej i najliczniej. W kartotekach Instytutu Historycznego PAN (których, niestety, autor nie wykorzystał w pełni) znajduje się już metryczki ponad 1500 periodyków konspiracyjnych, a wydany w 1962 r. Centralny Katalog Polskiej Prasy Konspiracyjnej z lat 1939-45 zawarł tych metryczek 1123.

Historiografia polska (podobnie jak francuska, duńska, czy holenderska) poświęca temu problemowi wiele uwagi. Wymienimy choćby takie prace jak Szymona Gólskiego o prasie konspiracyjnej, A. Przygórskiego o prasie PPR, metryczki pism ludowych zawarte w IV tomie materiałów źródłowych do historii polskiego ruchu ludowego, liczne artykuły itp. Również w wydawnictwach lubelskich można znaleźć spory choć rozrzucony zasób wiedzy na ten temat (w pracach o GL i AL, BCH, ruchu ludowym, materiałach sesji popularnonaukowych itp.).

Dodajmy, że krajowe archiwa i biblioteki od wielu lat starają się gromadzić ocalałe egzemplarze pism, relacje wydawców, redaktorów i kolporterów, ułatwiając w tej mierze pracę obecnym i przyszłym badaczom tego problemu. Zasługa wydawcy tomu o lubelskiej prasie konspiracyjnej J. Z. Hirsza jest w miarę pełne wykorzystanie tych możliwości. Podjął on też pewne starania, by pójść w badaniach dalej, prowadząc własne poszukiwania, sondaż i kwerendy. Miał więc dużą szansę, aby zamknąć zasadniczy etap badań nad tym zagadnieniem. Na jego pracy zaistniały jednak poważne: pośpiech, braki warsztatowe oraz słabe powiązanie z ośrodkami i osobami zajmującymi się tą problematyką. Przypadkiem niech będzie fakt, że równoległe do jego badań prowadził właśnie z I. Cabanem prace m.in. nad dziejami prasy Armii Krajowej w Okręgu Lubelskim. Praca nasza znajduje się w druku i wniesie wiele nowych tytułów, ustaleń i faktów, których brak w pracy Hirsza. W ten sposób już po kilku miesiącach pewne partie książki Hirsza zostaną zaktualizowane i będzie to strata niepowetowana.

Jakie ogólne refleksje nasuwa tom o prasie lubelskiej? Uwidacznia przede wszystkim niezwykle rozmach, na ogół wysoki poziom i dużą rolę czasopiśmiennictwa konspiracyjnego w regionie lubelskim. Ogółem w okresie okupacji na Ziemi Lubelskiej ukazało się co najmniej 100 tytułów różnych pism od dzienników do jednodniówek włącznie. Wszystkie one są świadectwem i wynikiem głębokiego patriotyzmu, poświęcenia i odwagi. Odgrywały one zasadniczą rolę w mobilizowaniu do walki, przezwyciężaniu defetyzmu, zwalczaniu kolaboracji, utrwaleniu wiedzy o martyrologii i walce oraz (dotyczy to pism lewicowych) przygotowaniu warunków i sił do gruntownego przebudowy społeczno-ustrojowej kraju i regionu po wyzwoleniu. Poważna część ich zawartości zasługuje więc na reedycję, a wszystkie na dogłębne opracowanie i spopularyzowanie. Dodajmy, że ich wydawanie i kolportaż w trudnych i niebezpiecznych latach okupacji zawierały wiele dramatycznych i heroicznych wątków i wydarzeń, indywidualnych i zbiorowych poświęceń, sensacji, ale przede wszystkim olbrzymiej odwagi i samozaparcia. Wiele też osób pracujących w konspiracyjnej prasie zapłaciło za to życiem.

Praca Hirsza obok niewątpliwych osiągnięć zawiera jednak zbyt wiele błędów i potknięć. Ich analiza wymaga sporo miejsca i nadaje się raczej do pism specjalistycznych. Wymienimy przykładowo niektóre z nich. Autor oparł swoje badania jedynie na relacjach ustnych i piśmennych, które uzyskał od żyjących kombatantów. Prawie zupełnie pominał natomiast źródła i dokumenty, które mimo wszystko zdobył się zachować. Nie zawsze jednak autor zdaje sobie z tego sprawę. Na str. 46 pisze np. o zupełnym „braku źródeł do AK”, podczas gdy w istocie zachowało się ich zaskakująco dużo (wiele tysięcy kart), tylko że autor nie wykazał należytej dociekliwości w dotarciu do nich. Nie zadał sobie również trudu w dotarciu do dużych zbiorów akt Delegatury RP na kraj, akt gestapo, żandarmerii itp. W poszukiwaniu egzemplarzy poszczególnych pism ograniczył się do stosunkowo łatwo dostępnych

bibliotek i archiwów, pomijając tym samym wiele zasobnych zbiorów trudniej dostępnych. Autor podchodzi bezkrytycznie do niektórych relacji i przekazów. Świadczy np. o tym fakt nie pozabawiony pewnej pikanterii. Na str. 284 swej pracy umieścił on metryczkę pisma (?) „Walka z szatanem”, podając, że jest to „powielane(?) pismo lewicowej socjalistycznej(?) ukazujące się w Siedlcach” i że ukazało się ono w kilku powielanych(?) numerach. Tymczasem chodzi tu o swoisty żart grupy konspiratorów ludowych, którzy wydali rekonstrukcję jednego numeru humorystycznego pisma poświęconego „szatanizmowi” urokiem panien Kurkowych z Wiśniewa, w których kochał się na zabój „chłopcy z lasu”.

Innym przykładem jest nagminne podawanie dokładnych rozmiarów organów prasy zaginionej. Czy w tym wypadku można zaufać relantom?

W metryczce pisma „Zagon” wydawca podaje, że wydawane było ono w 1944 roku przez Alfonsa Fasciszewskiego — „Komendanta Kedywu”. Tymczasem Alfons Fasciszewski, szef „Związku Odwetu”, w 1944 r. już nie żył, a związek „Zagona” z AK, jak to wynika choćby z zawartości numeru lipcowego, jest więcej niż problematyczny. Uwag tego typu nasuwa się bardzo wiele.

na. Również bezkrytycznie przyjął autor dane o stanie liczbowym BCH, chociaż nowe badania nakazują wyraźnie ich weryfikację.

Uwagi krytyczne budzą uproszczone oceny Delegatury, AK i RPP. Autor posłużył się starymi schematami sprzed wielu lat, które już dzisiaj wobec nowych badań nie wytrzymują próby czasowej.

Poważniejszy zarzut dotyczy sprawy „uchwycenia” możliwie wszystkich tytułów periodyków, broszur i ulotek tych ostatnich wymienienia autor jedynie 78. A przecież, jak wynika ze źródeł, ruch wydawniczy w tym zakresie szedł w setki tytułów. W odniesieniu do periodyków autor, niestety, nie zdołał ustalić wielu tytułów. Podajmy przykładowo, że brak w tomie metryczek lub choćby sygnałów o ukazywaniu się na Lubelszczyźnie takich pism jak: „Codzienne wiadomości”, „Dekada Żołnierza”, „Informator”, „Na Czułku”, „Nasza warta”, „Nowiny radiowe”, „Przegląd polityczny”, „Tygodnik Żołnierza”, „Wiadomości Polskie”, i innych. Z błędów poważniejszych należy wytknąć choćby uporczywe nazywanie dużej i znanej organizacji Komendy Obronców Polski — Korpusem Obronców Polski, kwalifikowanie ulotki „Złoty” jako „organu” KOP-u, błędne twierdzenie, że oddziały leśne BCH wełone zostały do AK, nieuwzględnienie w poglądach na sprawę walki z postępowym ruchem oporu” wśród dowódców NSZ i zniekształcenie znanych nazwisk, np. Sankierow zamiast Sarkisow, Urtich zamiast Erlich, Cebula zamiast Cebula itp. W efekcie tom pod redakcją Hirsza (karta tytułu sugeruje mylnie, że mamy do czynienia z autorem monografii) stał się jedynie punktem wyjścia do dalszych badań (może zbyt rodujnym). Niestety, pośpiech, brak gruntownych badań, braki warsztatowe i niepełny rodzaj prawniczo-pretensjonalny pozwoliły na danie w efekcie produktu, o którym można by powiedzieć, że to, co kończy zasadniczy etap badań nad tą ważną dziedziną życia konspiracyjnego kraju i regionu, a przecież takie są realne istniały.